

ANNA K. BANDURSKA

OSTATNI LIST

TOM I CYKLU *NAD SEKWANA*

Czy to możliwe, że miłość, za którą
tęsknisz, jest tylko złudzeniem?



ANNA K. BANDURSKA

OSTATNI LIST

TOM 1

NAD SEKWANA



Copyright © 2025 by Anna K. Bandurska

Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Iwona Hardej

KOREKTA: Katarzyna Szajowska

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

ZDJĘCIE AUTORKI: Archiwum prywatne Autorki

SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE I ISBN PRINT: 978-83-8412-243-3

EAN: 9788384122433

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-244-0

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Błaszczuk

Spis treści

Saint-Louis

Bal charytatywny.

Wakacje nad morzem

SAINT-LOUIS

Gdy wielki francuski parowiec przybił do brzegu w mieście Saint-Louis na zachodnim wybrzeżu Afryki, poczęły wychodzić z niego tłumy elegancko ubranych dam i panów, a nawet całe rodziny. Część z nich, pośród radosnych okrzyków i rzucania się w objęcia, głośno witała się z bliskimi, inni wsiadali zaraz do swoich furmanek, prowadzonych przez służbę ich kolonialnego domu. W tle rozbrzmiewał ogłuszający świst kolejnego, odpływającego już statku i donośne konwersacje kupców, sprzedających swoje towary na pobliskim bulwarze. Powietrze było gorące, a od oceanu wiała delikatna bryza, przynosząc ze sobą zapach ładowanych na statki rozgrzanych w słońcu daktyli, orzeszków ziemnych i owoców mango. Tylko dwie kobiety w pięknych kapeluszach i misternie upiętych włosach dreptały nerwowo po nabrzeżu, wypatrując kogoś lub czegoś. Za nimi podążał zdezorientowany miejscowy tragarz, nie bardzo wiedząc, dokąd wszyscy zmierzają. Wykrzykiwał za nimi łamanym francuskim:

– Ngagne ma zanieść bagaże na wóz, Ngagne nie wie, gdzie jest wóz!

Gdy po raz kolejny nie otrzymał odpowiedzi, zniecierpliwiony rzucił tobołki na ziemię i klnąc pod nosem w miejscowym języku, naciągnął czapkę na nos i stanął w miejscu.

– Widzisz gdzieś tatkę? – spytała młodsza z kobiet, trzymając jedną ręką kapelusz, a drugą lekko unosząc suknię ponad kostki. Wspięła się na palce w nadziei, iż dojrzy kogoś w tłumie.

– Nie, nie ma go... – odparła druga, znacznie starsza, rozglądając się wokoło.

– Przecież napisał w liście, że przyjedzie po nas osobiście. Jak mógł nam to zrobić! Jak mógł nas tak zostawić same, i to na obcym kontynencie?

Dlaczego go tu nie ma?! Przecież wie, że nie znamy drogi do miasta... – jęknęła pierwsza z kobiet, bliska płaczu.

– Panna Cecylia Albergine? – rozbrzmiał nagle głos za ich plecami.

Dziewczyna odwróciła się i ujrzała starszego Francuza.

– Tak, to ja – bąknęła.

Mężczyzna ukłonił się jej, mówiąc:

– Nazywam się Jacek Salas. Przysłał mnie pani ojciec. Niestety, nie mogłem przybyć osobiście, wyskoczyło mu coś ważnego w interesach. Ale proszę się nie martwić, zawiozę panie bezpiecznie do domu. – Uśmiechnął się, ukazując rząd zębów, wśród których brakowało jednej trójki.

Kobiety spojrzały ze zdumieniem na siebie.

– Zna pan mojego ojca? – spytała młoda dama.

– Oczywiście, pracuję dla pana Artura. Jestem stróżem w jego posiadłości. Proszę za mną.

Starsza z kobiet spojrzała podejrzliwym wzrokiem na mężczyznę.

– Skąd mamy pewność, że to prawda i że nas nie porwie? – szepnęła młodszej do ucha. Tamta odchrząknęła ostentacyjnie.

– Skąd mamy pewność, że to prawda? – zwróciła się do przybysza.

Mężczyzna otworzył usta ze zdumienia. Stał krótką chwilę w milczeniu, aż w końcu jęknął niewyraźnie i sięgnął do kieszeni.

– A tak, całkiem zapomniałem. Pani ojciec zostawił mi wiadomość dla pani – odparł, wręczając dziewczynie z uśmiechem niewielki świstek papieru.

Wzięła go niepewnie w dłoń i zaczęła czytać.

Droga Cecylio!

Musiałem pilnie udać się w interesach. Przykro mi, że nie mogłem wyjechać Ci osobiście na spotkanie. Wiem, że obiecałem, ale niestety

sytuacja nie pozostawiła mi wyboru. Wysłałem po Ciebie jednego z moich pracowników, pana Salasa. To przyzwoity i godny zaufania człowiek, z czystym sumieniem powierzyłem mu zadanie zabrania Was do naszej posiadłości. Spotkamy się wkrótce i wtedy wynagrodzę Ci moją nieobecność. Rozgośćcie się razem z Marią w posiadłości, ciotka będzie na Was czekać...

W liście było jeszcze kilka zdań, ale Cecylia nie miała ochoty dalej czytać. Zresztą nie było sensu... Wiedziała, że dalej ojciec będzie usprawiedliwiał ciotkę, siostrę ojca i jej matkę chrzestną, która rzadko ruszała się poza ich posiadłość. Wiecznie miała ataki migreny, które potęgowały się podczas podróży. Dziewczyna podejrzewała jednak, że ciotka po prostu nie lubi Afryki, a suchy gorący klimat ją męczy. Zgięła świstek papieru i spojrzała głęboko zawiedziona na przybysza.

– Wygląda na to, że ma pan rację... Cóż, chyba nie mamy wyboru. Niech pan nas zabierze do domu – zwróciła się z westchnieniem do Salasa.

– A gdzie są walizki pań?

Cała trójka obróciła się w poszukiwaniu Ngagne, ale nie było po nim śladu. Cecylia z przerażeniem zdała sobie sprawę, że po długiej podróży statkiem z portu w Nantes nie tylko nie wyjechali jej na spotkanie najbliżsi, ale, o zgrozo, już na wstępie okradziono ją z wszelkich bagaży. Serce podeszło jej do gardła z żalu i złości, a w oczach zaświeciły łzy.

– Nie ma naszych walizek! – jęknęła jej kuzynka. – Co za bezczelność! Wiedziałam, że w takim miejscu nie można zaufać nikomu... Gdzie jest policja? Musimy zawiadomić policję!

– Proszę nas zabrać jak najszybciej do rezydencji. Czuję, że wystarczy mi wrażeń na dzisiaj – zwróciła się Cecylia do stróża łamiącym się głosem, ignorując krewną. – Gdzie jest pana pojazd?

Mężczyzna spojrział na nią zdumiony.

– Ale panienko, nie możemy tego tak zostawić... Pani współtowarzyszka ma rację...

– A więc sama mam się zawieźć do domu? Bo nie będę tu stać i czekać na rozwój wypadków. Jeśli mnie pan natychmiast stąd nie zabierze, to przyrzekam... – zaczęła, próbując opanować roztrzęsienie.

Salas zmarszczył brwi i zmierzył kobietę spojrzeniem pełnym współczucia.

– Dobrze już, dobrze... Zawiozę panie do domu. Proszę za mną – odparł w końcu, ruszając przed siebie.

Maria złapała Cecylię delikatnie za ramię.

– A nasze rzeczy? Chyba tak tego nie zostawisz?

– Niech ojciec się tym zajmie, w końcu to on mnie tu zostawił... – burknęła Cecylia szorstko w odpowiedzi.

Nim jednak obie kobiety zdołały skończyć swój dialog, gdzieś z przodu rozległ się wesóły głos Ngagne.

– Ngagne zostawił walizki już w wozie, a panienki takie niezdecydowane... Chyba spodobało im się w porcie! – mówił, uśmiechając się szeroko.

Spojrzały w tamtym kierunku i zobaczyły, że opłacony przez nie tragarz stoi tuż obok bryczki. Salas podszedł do niego i zabrawszy z jego dłoni ostatnie pakunki, zaczął go strofować, gestykulując przy tym żywo. Potem dał tragarzowi kilka monet i kazał mu zniknąć im z oczu. Ngagne rzucił stróżowi na odchodnym parę gniewnych zdań w lokalnym języku. Kobiety nic z tego nie rozumiały, ale domyśliły się, że nie powiedział nic przychylnego.

– No to chyba wszystko już się wyjaśniło – rzekł Salas, podchodząc do nich. Wskazał na załadowane z tyłu pojazdu bagaże. Dwa konie w zaprzęgu

parskały rażno, niecierpliwie przebierając kopytami.

– Chodźmy, wystarczająco długo tu zabawiłyśmy – zwróciła się do kuzynki łagodniejszym głosem Maria.

Cecylia wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. Potem żwawym krokiem ruszyła przed siebie, z kamienną twarzą zajmując miejsce w furmance. Maria usiadła obok niej.

Salas wziął w dłonie lejce. Pojazd ruszył powoli przed siebie. Jechali w milczeniu, przerywanym jedynie przez Jacka, który nucił coś pod nosem.

Panna Albergine rozglądała się wokoło, obserwując aleje pełne jednopiętrowych budynków w kolorze piaskowca, z długimi balkonami ciągnącymi się wzdłuż każdej z fasad. Wkrótce bryczka wyjechała z miasta i oczom podróżujących ukazał się piękny widok na wybrzeże, urozmaicony rosnącymi gdzieś tam wysokimi drzewami palmowymi. Powietrze było coraz bardziej suche i gorące.

– Dlaczego nie jedziemy przez miasto? – spytała Maria, gdy brukowana droga skończyła się, a przed nimi rozpościerał się już tylko piaszczysty trakt.

– O tej godzinie ruch w mieście jest bardzo duży. Rezydencja państwa Albergine znajduje się na wschodzie miasta i to jest najszybsza możliwa droga. Proszę się nie martwić, jeżdżę tędy niemal codziennie – odparł woźnica, poganiając konie.

– W takim razie proszę przyspieszyć. Nie mamy całego dnia, a i tak czekałyśmy godzinę w porcie – burknęła z rozdrażnieniem kobieta.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł mężczyzna, po czym ponownie popędził konie, które lekko przyspieszyły.

Bryczka zaczęła telepać się na wszystkie strony i lekko podskakiwać, a Maria zrobiła się zielona na twarzy. Jęknęła boleśnie i zasłoniła twarz

chusteczką, bliska mdłości. Zacisnęła mocno dłoń na obiciu siedzenia, jakby bojąc się spaść. Spojrzała z wyrzutem na kuzynkę.

– Nie patrz tak na mnie, to nie moja wina, że mój ojciec zdecydował się wyjechać na trzy lata do Afryki – prychnęła Cecylia, widząc jej zboląłą minę. – Mógł robić biznes w całej Francji, ale nie, wolał przyplłynąć tutaj i ciągać swoją rodzinę ze sobą. Nie wiem, co mam ci powiedzieć... Sama chciałaś przyjechać tu ze mną.

– Jakbym miała w ogóle jakikolwiek wybór... – wymamrotała słabo kuzynka zza chusteczki. – Nikt inny nie kwapił się, aby ci towarzyszyć... Ciotki mają chorobę morską, a babcia dostałaby palpitanie serca od tego gorąca... – dodała, machając energicznie wachlarzem. – Mam nadzieję, że wkrótce dotrzemy na miejsce, bo ledwo dyszę, a do tego...

Nim skończyła mówić, rozległo się rzenie konia, poprzedzone okrzykiem woźnicy, a kobiety poczuły, że prawe koło pojazdu najeżdża na coś twardego, podskakując przy tym energicznie. Chwilę później bryczka gwałtownie stanęła. Obie pasażerki upadły gwałtownie na siedzenia naprzeciwko. Cecylia z trudem podniosła się na nogi. Na piaszczystej drodze ujrzała ogromne powalone drzewo, które blokowało przejazd. Salas skoczył do drzwi pojazdu.

– Czy wszystko w porządku? – spytał, patrząc na obie kobiety, które z kwaśnymi minami poprawiały kapelusze.

– W porządku? A czy wyglądamy w porządku? To chyba jedna z najgorszych przejażdżek, jakie miałam nieprzyjemność odbyć w swoim trzydziestoletnim życiu... – jęknęła Maria, z wściekłością machając chusteczką.

– Co się stało? – spytała Cecylia, ignorując kuzynkę.

– Nie wiem, skąd wzięło się tu to drzewo... Kiedy jechałem do portu, tego tutaj nie było... – Zakłopotany Salas wskazał na długi gruby konar

leżący tuż przed nimi.

– Nie możemy tego po prostu objechać? – wtrąciła Maria.

– Nie ma którejdy – odparł woźnica, patrząc na gęste kolczaste zarośla na zboczu pagórka po jednej stronie drogi i na piaszczysty wąwóz po drugiej. – Musimy cofnąć się do miasta.

– Jedźmy więc, na co czekamy? – wtrąciła starsza z kobiet.

– Jest tylko jeden problem... Wóz najechał na jakiś głaz. Musiał się tu sturlać razem z powalonym drzewem. – Salas wskazał na zarośnięty pagórek po prawej stronie.

– No i...? – dopytywała Maria z rozdrażnieniem.

– No i koło się oblużowało... – odparł, zaglądając pod podwozie bryczki i dotykając koła. – Nie damy rady tak nigdzie pojechać... – rzekł, cmokając z niezadowoleniem. – Muszę to naprawić. Problem w tym, że sam nie dam rady... Powinniśmy poszukać pomocy... – dodał, drapiąc się z konsternacją po głowie.

– To jakiś koszmar... – jęknęła starsza z kuzynek, a jej twarz zrobiła się biała jak kreda.

– Paniom radzę pozostać w dorożce i czekać na mój powrót. Wezmę konia, tak będzie szybciej.

Kobiety z westchnieniem opadły na siedzenia bryczki. Patrzyły, jak mężczyzna odczepia jednego z koni i dosiadłszy go, odjeżdża pospiesznie w kierunku miasta.

– No i co teraz? – spytała Maria.

– Nic... Poczekamy tu, aż on wróci – odparła Cecylia, wzruszając ramionami.

– A co, jeśli nie wróci? W końcu nic o nim nie wiemy...

Panna Albergine obrzuciła kuzynkę zdziwionym spojrzeniem, po czym westchnęła cicho.

– Zawsze musisz być taką optymistką?

– Po prostu staram się patrzeć na wszystko realistycznie.

– Dla mnie to raczej przejawskrawiony realizm. Przecież przysłał go mój ojciec, sama widziałaś list... Nie wysłałby po nas byle kogo...

– Może on ten list sam napisał, podrobił pismo twojego ojca? Może to jakaś pułapka?

Cecylia jęknęła przeciągle, po czym otworzyła drzwiczki powozu i ostrożnie zeszła na dół, na piaszczystą drogę.

– Dokąd idziesz? – spytała ją Maria.

– Nie mogę już ciebie słuchać... Zresztą zaraz się tu uduszę, stoimy na słońcu, dłużej już nie wytrzymam.

– Przecież jesteśmy na środku drogi, w afrykańskiej sawannie...

– Trudno, jeśli zje mnie jakiś lew, możesz winić za to mojego ojca... – odparła Cecylia, unosząc dół kremowej sukni i kierując się powoli w kierunku niewielkiego wąwozu. Wkrótce znalazła się po jego drugiej stronie.

Maria rozejrzała się wokoło. Wyglądało na to, że są zupełnie same, pośrodku piaszczystej sawanny, pełnej wyrastających gdzieś tam wysokich traw i drzew akacjowych. Widząc kuzynkę oddalającą się coraz bardziej od drogi, przewróciła z niezadowoleniem oczami i również wysiadła z powozu.

– Poczekaj, pójdę z tobą... – wymamrotała. – W końcu i tak nie mam nic lepszego do roboty. Mam dosyć czekania na wszystko i wszystkich...

Ruszyła za Cecylią, z trudem próbując dostać się na drugą stronę wąwozu. Upadła tuż przy wyjściu z niego, brudząc sobie suknię i koronkowe rękawiczki.

– Za jakie grzechy... – westchnęła, otrzepując się. Jej kuzynka stała kilka metrów przed nią, wpatrując się z ciekawością w jakiś punkt w oddali.

– Na co tak patrzysz? – spytała Maria, podchodząc do niej.

– Spójrz tam, na zachód... Tam jest jakaś wioska – odpowiedziała Cecylia, z błyskiem w oku wskazując kilka sporych słomkowożółtych punktów.

Maria wyteńczyła wzrok. Wyglądało to rzeczywiście na skupisko kilku lub kilkunastu chat, na tle których krzątała się grupka tubylców w kolorowych ubraniach.

– Może to kanibale?

– Co ty bredzisz, Mario? Przecież to kolonia francuska, od wielu lat ucywilizowana, a do tego jesteśmy w pobliżu miasta!

– No i co z tego?

Cecylia westchnęła cicho, po czym jęknęła:

– Ja tam idę, może dadzą mi szklanek wody. A ty sobie tu stój, jeśli chcesz.

Nie czekając na odpowiedź ruszyła przed siebie.

– Moja droga, jak zwykle wpędzisz nas w kłopoty... Jak dobrze, że jestem wdową i nie muszę się już martwić o swoją reputację i nic nikomu udowadniać! Inaczej co by ludzie o mnie powiedzieli?

– Za dużo martwisz się o to, co powiedzą inni. *Au revoir!* – rzuciła przez ramię Cecylia w odpowiedzi.

Młoda kobieta zwawo ruszyła na spotkanie z tubylcami. Jednak im bardziej zbliżała się do wioski otoczonej drzewami sawanny, tym większe ogarniały ją wątpliwości, czy dobrze robi. Maria miała rację, nic tu o nikim nie wiedzą... Jak tubylcy zareagują na jej przybycie? Czy mówią po francusku? Tyle różnych myśli przewijało się w jej głowie, że nawet nie

zauważyła, że od kilku sekund nie jest sama. Ktoś za nią stał i nie była to jej kuzynka...

Powoli odwróciła się, pełna niepokoju. Jej oczom ukazała się niewielka małpa. Miała jasną, beżowo-żółtą sierść i ciemny pysk. Przykucnięta na ziemi, gdy tylko zobaczyła niepewną minę Cecylii, groźnie wyszczerzyła zęby, a jej czerwone oczy błysnęły złowieszczco.

– Cecylio, nie ruszaj się! Idę do ciebie! – Usłyszała przerażony głos kuzynki, która stała kilkanaście metrów dalej, desperacko szukając wzrokiem jakiegoś grubego kija.

Panna Albergine cofnęła się, zszokowana widokiem dzikiego zwierzęcia, a gdy małpa ruszyła w jej kierunku, przyspieszyła kroku. Zwierzę zaczęło zbliżać się do kobiety i wyglądało na to, że nie ma dobrych zamiarów. Cecylia ponownie ujrzała rząd jego żółtych, ostrych zębów. Odwróciła się w popłochu i z krzykiem zaczęła biec na oślep.

– Cecylio! Cecylio! – Słyszała zdesperowany krzyk Marii za swoimi plecami.

Ona jednak nie słuchała, biegła, ile tchu, dysząc ciężko i niemal potykając się o własne nogi, bo ciężka suknia krępowała jej ruchy. W końcu upadła na ziemię. Poczowała na nogach ciężar zwierzęcia, które dopadłszy ją, zasyczało dziko i wspięło się na jej plecy, wydając przy tym dziwne odgłosy i wbijając pazury w jej włosy upięte pod kapeluszem. Powietrze rozdarł pełen strachu krzyk.

– Mario! – wołała Cecylia, zalewając się łzami. Słyszała, że kuzynka biegnie w jej kierunku, rzucając w małpę znalezionymi po drodze kamieniami.

– A kysz, a kysz, zostaw ją! – jęczała jej krewna, ale bez większego skutku. Małpa wydała jakiś groźny dźwięk, gotowa rzucić się na kolejną ofiarę.

Kiedy obie kobiety myślały już, że zostaną poturbowane przez zwierzę, nagle pomiędzy pobliskimi drzewami pojawiła się jakaś postać.

– Koko, zostaw panie! Chodź tu natychmiast! – rozległ się pewny siebie męski głos.

Małpa przerwała torturowanie młodej kobiety i usłyszawszy znajomy głos, pobiegła w tamtym kierunku. Cecylia podniosła głowę i ujrzała młodego mężczyznę o bujnych jasnych włosach. Miał trochę zapuszczony zarost i hipnotyzujące niebieskie oczy. No i przesłodki dołek w podbródku. Był skromnie ubrany, ale dość przystojny. Przykucnął, a zwierzę wdrapało się na jego ramiona. Nieznajomy się podniósł.

– Proszę to ode mnie zabrać! – jęknęła.

– Nie ma się czego bać, ona tylko udaje groźną. To nasza małpka z wioski, Koko, kotawiec jasnonogi – odparł, głaszcząc futro małpki, która chwilę później zeskoczyła z jego ramion i pognała w kierunku wioski. – Czy wszystko w porządku? Czy dobrze się pani czuje? – spytał, podchodząc do Cecylii.

Spojrzała na niego zdziwiona. Jej włosy były w nieładzie, a kapelusz mocno przekrzywiony.

– Tak, wydaje mi się, że nic mi nie jest... – wymamrotała, próbując się podnieść.

– Niech pani pozwoli, pomogę pani wstać.

Z uśmiechem podał Cecylii dłoń, a ona chwyciła ją niepewnie. Mężczyzna energicznie pociągnął ją ku sobie, a ona wstając, oparła się o niego. Ich ciała przyłgnęły do siebie na krótką chwilę. Spojrzeli sobie w oczy.

– Przepraszam pana... – wymamrotała kobieta, czerwieniąc się.

– Nic nie szkodzi... – odparł młodzieniec z uśmiechem.

Maria przewróciła na ten widok oczami. Widziała takie sceny dziesiątki razy i nigdy nic dobrego nie wróżyły.

– Dziękujemy panu za pomoc, za uratowanie nas od ataku małpy, pana własnej zresztą. To bardzo miło z pana strony – powiedziała z przekąsem. – Cecylia, powinniśmy wracać do powozu. Pan Salas może być z powrotem w każdej chwili...

– Czekają panie na kogoś? – spytał mężczyzna.

– Tak, na naszego woźnicę... Pojechał szukać pomocy. Popsuło nam się koło... – odparła Cecylia.

– Oj, to na pewno trochę potrwa. Tu w okolicy nie ma żadnego warsztatu, są dwa w mieście, jakieś pół godziny drogi stąd – zakomunikował młodzieniec. – Proponuję, aby panie poczekały z nami w wiosce. Tam będziecie bezpieczne. Tu, na środku drogi, nigdy nic nie wiadomo...

– Dziękujemy za propozycję, ale tu nic nam nie grozi. Powinniśmy były zwyczajnie zostać w powozie, jak sugerowałam swojej kuzynce. Pan Salas z pewnością jest już w drodze powrotnej. Zresztą nie możemy tak po prostu zostawić naszych bagaży – odparła Maria.

– Czy o tej wiosce pan mówi? – spytała panna Albergine, ignorując krewną.

– Tak, tam pracuję.

– Jest pan lekarzem?

– Chciałbym nim kiedyś zostać... Jestem misjonarzem. Piotr Gobillot. I żaden ze mnie pan, proszę mówić mi po prostu Piotr – odparł.

– Cecylia. Cecylia Albergine – odpowiedziała, podając mu rękę. Pocałował ją szarmancko.

– Piotrze, jak pan na pewno rozumie, właśnie przyплыnęliśmy tu z Francji, jesteśmy zmęczone podróżą i nie szukamy przygód. Najlepiej

więc będzie, jak poczekamy na naszego woźnicę tam, gdzie nas zostawił – powiedziała z irytacją jej starsza kuzynka.

– A jeśli dopadnie panie upał? To Afryka, nie Francja... Nie mogę tak pań zostawić... Proszę pójść za mną, zajmiemy się paniami, a potem sam was tu osobiście odprowadzę. A jeśli bardzo paniom zależy na którejś z walizek, to chętnie ją poniosę.

Maria spojrzała na kuzynkę wzrokiem mówiącym twardo: „Nie ma mowy”. Cecylia zagryzła lekko wargę, namyślając się.

– I obiecuje pan, że nas potem odprowadzi na miejsce? – upewniła się.

– Obiecuję...

– A więc zgoda. Może wziąć pan walizkę mojej krewnej. Na mojej własnej mi nie zależy...

Jej kuzynka otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Nie dowierzała własnym uszom. Cecylia, widząc jej minę, wspomniała mimochodem:

– Muszę doprowadzić się do porządku. A jeśli ktoś ukradnie mój tobolek, to trudno... Niech ojciec zapłaci za nowe sukienki dla mnie...

Maria pokręciła z dezaprobatą głową, ale jej kuzynka zignorowała to. Obróciwszy się na pięcie, poprawiła kapelusz na głowie i zaczęła iść w kierunku wioski.

Piotr z uśmiechem przenosił wzrok z jednej kobiety na drugą, a potem ruszył za Cecylią.

– Mamy skromne zaopatrzenie w wiosce, ale jest świeża woda i coś do jedzenia. Znajdzie się też lustro.

– Dziękuję panu – odparła kobieta, rumieniąc się.

– Cecyljo, litości... – jęknęła Maria, ale na próżno... Jej młodsza kuzynka i młodzieniec coraz bardziej oddalali się od drogi. – A moja walizka? – mruknęła, spoglądając na ułokowane z tyłu bryczki bagaże. Nie słysząc żadnego odzewu, westchnęła cicho i nie widząc innego wyjścia,

ruszyła za parą idącą szybkim krokiem w stronę wioski. – Coś czuję, że ta podróż będzie mnie słono kosztować... – szepnęła do siebie.

Gdy cała trójka dotarła na skraj wioski, przywitał ich wesoły gwar afrykańskich dzieci, które na widok mężczyzny ruszyły mu na spotkanie.

– Jak się masz? – zwrócił się do jakiegoś chłopca, głaskając go po bujnej czuprynie. – Zobaczcie, kogo przyprowadziłem!

Wskazał na stojącą tuż za nim kobietę o słomkowych, tak jak i jego, włosach. Dzieci przyjrzały się jej z ciekawością. Jakiś starszy chłopiec odpowiedział mu coś w lokalnym języku. Kilkoro innych maluchów się zaśmiało. Mężczyzna również.

– Co on powiedział? – spytała Cecylia, nie rozumiejąc, o czym rozmawiają.

– Nic, stwierdził tylko, że twój kapelusz wygląda jak ptasie gniazdo.

Panna Albergine zrobiła kwaśną minę.

– Ptasie gniazdo? Co za bzdury! To ostatni krzyk francuskiej mody! – fuknęła, śmiejąc się nerwowo.

Piotr spojrział na jej nakrycie głowy. Było w kolorze kremowym, dość obszerne, a zdobił je spory wypchany ptak i kilka sztucznych kwiatów. Kapelusz był piękny, ale całość rzeczywiście mogła wyglądać zabawnie dla afrykańskiego dziecka, nawet jeśli podobne kapelusze nosiły setki modnych kobiet we Francji.

– Musi pani jednak przyznać, że coś w tym jest... – Zaśmiał się. – Dzieci bardzo lubią gości, zresztą wszyscy tutaj z przyjemnością was ugoszczą tym, co mają – dodał po chwili, zmieniając temat. – Chętnie poczęstujemy was kubkiem świeżej wody. Mamy nawet herbatę.

Ruszył w kierunku jednego z domów i zagadnął miejscową młodą kobietę. Ta spojrzała na przybyszki z uśmiechem, po czym odpowiedziała coś młodzieńcowi w lokalnym języku.

– To Bintou, nasza pielęgniarka. Mówi, żeby pani z nią poszła – wytłumaczył po chwili młodszej Francuzce. – Pokaże, gdzie można się odświeżyć i pomoże odkurzyć sukienkę.

– To miło z jej strony – odparła Cecylia, po czym ruszyła za Bintou i zniknęła na dobre kilka minut.

Maria w tym czasie usiadła na krześle, które podsunął jej Piotr. Siedziała tak, wachlując się swoim zdobionym piórami wachlarzem i nerwowo mierząc wzrokiem całą wioskę i jej mieszkańców. Kolejna tubylka podała jej trochę chłodnej wody w glinianym kubku. Wypiła ją prędko, jakby dokąds się spieszyła. Potem nerwowo spoglądała w kierunku wejścia do chatki, w której zniknęła Cecylia. Po jakimś czasie jej młodsza kuzynka stanęła w skleconych z desek drzwiach. Maria odetchnęła z ulgą.

– No więc rozumiem, że możemy już wracać? – zwróciła się do Cecylii.

– Nie, chcę się jeszcze czegoś napić. Zaschło mi w gardle... Tu jest tak gorąco...

– To napij się szybko wody, tak jak ja...

– Ale zaczęliśmy już parzyć herbatę, nie mogą panie jeszcze iść! – zaoponował Piotr, spoglądając na Cecylię proszącym wzrokiem. A ona pomyślała, że ten mężczyzna, którego zna ledwo od kilkunastu minut, ma piękne oczy.

– Z chęcią napijemy się herbaty, prawda, Mario? W końcu nie chcemy wracać na drogę słabą i spragnioną... – odparła, niemal zahipnotyzowana spojrzeniem młodzieńca.

Maria znów opadła zrezygnowana na krzesło.

– Proszę usiąść, za chwilę wszystko przyniosę – wtrącił z uśmiechem mężczyzna, podsuwając krzesło Cecylii. Za moment przyturlał również szeroki pień i położył na nim drewnianą płytę, tworząc coś na kształt stolika kawowego. Potem zniknął na parę minut w jednej z chatek pokrytych

strzechą. Wrócił z niej z prostą zastawą do herbaty. Ustawił ją na stoliku i ponownie ruszył na środek wioski. Cecylia widziała, jak para tubylców pomaga mu zagrzać wodę nad kuchnią, rozłożoną na świeżym powietrzu, a potem nalać trochę wrzątku do miedzianego garnuszka. Piotr postawił zaraz przed kobietami zaparzoną herbatę. Jej piękny aromat dotarł prędko do Cecylii.

– Przywiozłem ją ze sobą z Francji. Tak naprawdę rzadko piję herbatę, oszczędzam ją na szczególne okazje. Niestety nie mam już za wiele cukru – wytłumaczył, wskazując na cukiernicę, w której znajdowały się resztki białego proszku. – Dzieciaki tutaj wyjadają mi go regularnie. Uwielbiają podgryzać większe kawałki, te rąbane z głowy. – Uśmiechnął się, przenosząc wzrok na gromadkę dzieci, które spoglądały na nich z ciekawością spod jednej z chatek, gdzie bawiły się rysowaniem patykami po ziemi.

– A więc jest pan tu misjonarzem... – zaczęła Maria, chwytając filiżankę. – Świeckim czy duchownym?

– Świeckim. Ale mamy tu również kapłana i siostrę zakonną. Niestety dzisiaj są w sąsiedniej wiosce. Tam, z tyłu, mamy niewielką kaplicę – odparł, wskazując na jeden z niewielu murowanych domków w wiosce.

– Co pana skłoniło, by zostać misjonarzem? – spytała Cecylia. – Jest pan chyba niewiele ode mnie starszy...

Piotr odpowiedział jej kolejnym pięknym uśmiechem. Miał równiutkie śnieżnobiałe zęby.

– To długa historia, nie chcę pań zanudzać swoim życiem.

– Mamy czas, nigdzie nam się nie spieszy – odparła młodsza z kobiet ku przerażeniu swojej kuzynki.

Mężczyzna opuścił lekko głowę. Spoważniał.

– Chciałem zostać lekarzem, ale nie stać mnie było na studia. Właściwie tam, skąd pochodzę, mogłem albo pracować na farmie, albo wyjechać do dużego miasta do pracy w fabryce. Zresztą pracowałem w jednej przez kilka lat, zarabiając na życie. Potem zmarł ojciec, matka nie żyje już od wielu lat. Po ich śmierci nie mogłem znaleźć celu w życiu. Szwendałem się tu i tam, łapałem się dorywczych prac, żeby tylko przeżyć. Aż kiedyś spotkałem na swojej drodze byłego misjonarza. Opowiedział mi o swojej pracy, ile dało mu to satysfakcji, jakich wspaniałych ludzi poznał, inną kulturę, dzikie zwierzęta. Zaintrygowało mnie to... Gdy w jednym z kościołów zobaczyłem ogłoszenie o poszukiwaniu misjonarzy do pracy w Senegalu, nie zastanawiałem się długo. Wsiadłem na najbliższy statek i oto jestem. Taka jest pokrótce moja historia... – Zamilkł i westchnął przeciągle.

– I rzeczywiście jest tu panu lepiej? Czuje się pan spełniony? – dopytywała Cecylia.

Spojrzał na nią swoimi błyszczącymi niebieskimi oczami.

– Czy lepiej, nie wiem, na pewno czuję się tu potrzebny. I dlatego właśnie nie wyobrażam sobie siebie już w żadnym innym miejscu – odparł bez namysłu.

– Jak to? Skoro nie jest pan tu szczęśliwszy niż we Francji, to po co żyć tak daleko od domu? Czemu nie szukać szczęścia w rodzinnym kraju? – wtrąciła Maria, dopijając herbatę.

Mężczyzna wziął głęboki oddech.

– Pozwólcie, panie, że w odpowiedzi oprowadzę was trochę po naszej wiosce. Zrozumiecie wtedy lepiej, o czym mówię i dlaczego chcę tu pozostać – rzekł po chwili, wstając wolno z głazu, na którym siedział nieopodal kobiet. Podał dłoń Cecylii, pomagając jej wstać.

– Czy długo to zajmie? Wie pan, nasz woźnica, pan Salas, z pewnością niedługo wróci i zacznie nas szukać. – Maria nerwowo spoglądała w kierunku mającej w oddali drogi, gdzie stała ich bryczka.

– Obiecuję, że nie zajmę paniom zbyt wiele czasu. A potem odprowadzę je z powrotem – odparł mężczyzna, z galanterią ofiarowując ramię młodszej z podróżniczek.

Maria ponownie wyciągnęła wachlarz i zaczęła się nim chłodzić, przerażona, że za chwilę z emocji i gorąca dostanie najpewniej palpacji serca. Wolno ruszyła za parą, z lękiem rozglądając się wokół siebie. Po chwili dotarli do długiej murowanej budowli, stojącej niedaleko kaplicy.

– To główny budynek naszej wioski. Mamy tu sporą jadalnię i kilka oddzielnych sal, w których tymczasowo lokujemy wiele osób. Dajemy schronienie uciekającym przed afrykańskimi przemytnikami, a także tym, których udało się uwolnić z rąk handlarzy niewolników. Dajemy im także nadzieję, wsparcie duchowe i otuchę, karmimy ich, mamy nawet szkołę prowadzoną przez naszą siostrę. Lekcje także odbywają się w tym budynku. Co ciekawe, niektórzy dopiero tutaj poznają wiarę chrześcijańską.

– Ale przecież niewolnictwo zostało surowo zakazane przez władze francuskie we wszystkich koloniach już kilkanaście lat temu. Jak więc to możliwe? – wtrąciła z niedowierzaniem Cecylia.

Piotr westchnął ciężko.

– Tak, w tysiąc osiemset czterdziestym ósmym roku Francja oficjalnie zniosła niewolnictwo we wszystkich swoich koloniach. Jednak cały ten proceder tak bardzo wrósł w mentalność części Afrykańczyków, którzy bogacili się na handlu ludźmi, że niestety nadal istnieje czarny rynek, a europejscy i amerykańscy przemytnicy współdziałają z nimi pod osłoną nocy, często umykając stróżom prawa. Niewolnictwo było od bardzo dawna źródłem wielkich dochodów. Byli tacy, co porywali i sprzedawali swoich

własnych współpracaci do pracy na wielkich plantacjach. Teraz, gdy to zostało zakazane, wielu z nich straciło lukratywne zajęcie. To w końcu z Saint-Louis wypływały statki z niewolnikami do Ameryki. W tej sytuacji staramy się chronić lokalnych mieszkańców przed porwaniami i dajemy schronienie tym, których udało się odbić z rąk przemytników. Często są to ludzie pochodzący z głębi kontynentu. Nie jest nam łatwo, bo działają tu zorganizowane grupy przestępcze i chroniąc lokalną ludność i uratowanych z tego zbrodniczego procederu, często narażamy własne życie. Ale dla mnie pomoc tym ludziom jest ważniejsza. Muszę chronić te dzieci – wyjaśnił, obejmując wzrokiem grupkę tubylców, która śledziła ich z zaciekawieniem.

– Jakie to smutne... – powiedziała Cecylia po długiej chwili ciszy.

– Tak, bardzo... Chciwość ludzka nie zna granic... Dopiero tutaj, w Senegalu, ujrzałem na własne oczy, jak okrutni potrafią być dla siebie ludzie, jak pieniądź ich oślepia, doprowadza dosłownie do szaleństwa. Ale też doświadczyłem wielkiej wdzięczności innych ludzi, satysfakcji z tego, że uratowałem komuś życie. To jakoś rekompensuje mój ból.

– I nie boi się pan ataku ze strony jakichś szaleńców?

– Jasne, zawsze jest taka ewentualność. Ale nie jesteśmy tak bezbronni, jak się pani wydaje. Mamy w wiosce kilka karabinów, a kilometr stąd stacjonuje francuski oddział wojskowy.

– I macie tu też kaplicę... – wtrąciła Maria, zmieniając nagle temat.

– Tak, zafundowaną w całości z ofiar wiernych z Francji. Zresztą utrzymujemy się głównie z datków. A potrzeby są ogromne... Czy chcą panie wejść do środka?

– Nie, dziękujemy... – odpowiedziała Maria.

– Ależ tak, bardzo chętnie! – przerwała jej Cecylia.

Weszli do niewielkiego budynku. Wyglądał jak mały kościół. Był tam ołtarz, krzyż, tabernakulum, na ścianach wisiały obrazy kilku francuskich

świętych. Wystrój był dość skromny. Wszyscy przyklękli, po czym udali się do bocznej części kaplicy.

– To tu przychodzę, gdy potrzebuję nabrać sił, gdy słabnie mój duch... Czasami wydaje mi się, że walczę z wiatrakami. Ale wiem też, że nie mogę się poddać – powiedział mężczyzna, siadając w jednej z ławek. To samo zrobiła Cecylia. – Pomodli się pani chwilę ze mną? O powodzenie misji, za mnie? – spytał nieśmiało.

Kobieta pokiwała przytakująco głową. Oboje uklękli i zaczęli odmawiać dziesiątkę różańca. Gdy skończyli, Piotr podniósł się i wyciągnął dłoń do Cecylii.

– Chodźmy już, pani krewna bardzo się niepokoi – wyszeptał.

Chwyciła delikatnie jego rękę, czując przez koronkową rękawiczkę przyjemne ciepło skóry. Gdy prawie dotarli do drzwi, zabrał ją dość gwałtownie, jakby bojąc się reakcji kuzynki, która zapewne czekała nieopodal. W milczeniu opuścili kaplicę.

– Naprawdę pana podziwiam... I do tego dla tego szczytnego celu rezygnuje pan z własnego szczęścia. To takie szlachetne! – szepnęła Cecylia, spoglądając z uśmiechem na Piotra.

Spojrzał w jej piękne szaroniebieskie oczy, odwzajemniając uśmiech.

– Teraz tak, jestem sam, kiedyś chciałbym jednak założyć rodzinę. Marzę o gromadce dzieci. Uwielbiam pracę z dziećmi. Wspaniale byłoby mieć kiedyś własne. Zobaczymy, co przyniesie los... – odparł cicho.

– A więc chce się pan kiedyś zakochać?

– Tak, bardzo chcę – rzekł z błyskiem w oku.

– A pozostałe budynki w wiosce? Do kogo należą? – zapytała, zmieniając temat, zanim dołączyli do Marii, która stała z twarzą zdradzającą poirytowanie i zniecierpliwienie.

Cecylia wiedziała, że jej kuzynka nie oszczędzi jej uwag ani nie omieszka poskarżyć się jej ojcu, gdy tylko dotrą do domu. Nie myślała jednak o tym teraz. Czuła, że chce jak najdłużej przebywać w towarzystwie przystojnego młodzieńca i dowiedzieć się o nim jak najwięcej.

– To domy tych, którzy postanowili z nami zostać. Niektórzy przybyli tu całymi rodzinami, inni dopiero tutaj poznali kogoś. Nasza społeczność powoli rośnie. I to cieszy – odparł Piotr.

– To wspaniale – rzuciła Cecylia, nie bardzo wiedząc, jak dalej pokierować rozmową. Wizja tego, że kończy jej się czas i że wkrótce musi wracać do nagrzanej słońcem bryczki, sprawiała, że miała pustkę w głowie.

– Odprowadzi nas pan? Obiecał pan... Jeśli nie wrócimy, zanim pojawi się tam pan Salas, to nie daj Boże wezwie ekipę ratunkową do szukania nas. A tego przecież byśmy nie chcieli... – wtrąciła Maria, chwytając młodszą kuzynkę pod rękę. – Nie przedłużaj tego, proszę cię, nie wiesz nawet, w jakie mnie wpędzisz tarapaty! – syknęła jej do ucha.

– Oczywiście, jeśli tak bardzo się panie o to martwią, to nie ma sensu przetrzymywać tu pań ani chwili dłużej. Chodźmy! Koko, pożegnaj się! – zażartował, przywołując do siebie małpkę, która zaczęła biec w jego kierunku, lądując wreszcie na jego ramieniu. Maria ze strachem pociągnęła kuzynkę za sobą, w pośpiechu oddalając się od mężczyzny i jego maskotki.

– Niech panie nie uciekają, tylko się z wami drocą. Rozumiem, że nie będzie między wami żadnej szczególnej sympatii – rzucił z uśmiechem, oddając małpkę w ręce jakiegoś starszego chłopca.

– Co za szaleniectwo... – jęknęła Maria.

– A ja uważam, że jest bardzo sympatyczny...

Mówiąc to, Cecylia odwróciła się i spojrzała na mężczyznę. On jednak patrzył z zamyśleniem w przeciwnym kierunku, nie zdając sobie sprawy, że panie nadal o nim rozmawiają.

Kiedy opuścili teren wioski, zegnały ich roześmiane twarze jej mieszkańców, którzy szli za nimi jakiś czas, aż w końcu pozostali w tyle, machając im wesoło.

Po kilkunastu minutach marszu w ciszy zbliżyli się do drogi. Z daleka widać było już ich powozik. Piotr szedł cały czas za nimi. Kobiety ujrzały zaraz, że bryczka jest już gotowa do odjazdu, a wokół niej nerwowo kręci się pan Salas w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, którego pojazd stał w niedalekiej odległości. Gdy je zobaczył, zaczął coś krzyczeć nerwowo, machając przy tym energicznie ręką.

– Widzisz, mówiłam ci, że wpędzisz nas w kłopoty – mruknęła na ten widok Maria.

– To jego wina, gdyby nie najechał na kamień czy konar drzewa, nie byłoby nas tutaj...

Maria spojrzała z konsternacją na butną minę Cecylii.

– Pozwól, że sama porozmawiam z panem Salasem – rzekła, nie chcąc być świadkiem zbliżającej się nieuchronnie sprzeczki kuzynki z woźnicą. Gdy tylko wyszły na drogę, puściła ramię Cecylii, a sama poszła wyjaśnić sytuację. Cecylia została sam na sam z Piotrem. Widziała, jak Maria mówi coś do pana Salasa, wskazując przy tym na młodego mężczyznę.

– A więc tutaj się zegnamy. Bardzo miło mi było panią poznać – zaczął Piotr, całując pannę Albergine w dłoń zakrytą koronkową rękawiczką. – Życzę miłego dnia i powodzenia!

– To ja panu dziękuję. Naprawdę, to było bardzo ciekawe doświadczenie – odparła Cecylia lekko łamiącym się głosem.

Poczuła głęboki smutek, sama nie wiedząc czemu. Perspektywa tego, że ów niedawno poznany mężczyzna zniknie już na zawsze, wywoływała w niej jakieś dziwne przerażenie i gorycz. Odwróciła się powoli w kierunku

bryczki, ale nie mogła ruszyć z miejsca. Spojrzała na Piotra, który nadal stał na skraju drogi.

– Czy jeszcze pana kiedyś zobaczę? – spytała cicho, jakby bojąc się, że ktoś inny ją usłyszy.

Mężczyzna otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Nie wiem... A chciałaby pani mnie ponownie zobaczyć? – spytał.

– Tak, myślę, że tak...

Oczy Piotra rozbłysły jakimś dziwnym blaskiem.

– A więc będę cały czas tutaj. Będę czekać – odparł z uśmiechem.

Cecylia odwzajemniła uśmiech.

– Do widzenia panu – rzekła pewniejszym głosem.

– Do widzenia, panno Albergine.

Obróciła się i powoli udała w kierunku powozu, w którym siedziała już jej kuzynka. Pan Salas pomógł jej wsiąść. Usiadła prędko na wysłanym pluszem siedzeniu.

– Niech się panie trzymają. Teraz zawracamy, a potem miejmy nadzieję, że w końcu bezpiecznie dojedziemy do posiadłości pani ojca – rzekł woźnica. – Dzięki Bogu są panie całe i zdrowe. Już miałem iść na komisariat policji. Bałem się, że ktoś was porwał. Mają panie szczęście, że postanowiłem chwilę poczekać. Inaczej mogło być z tego niezłe zamieszanie... – ciągnął.

Wkrótce konie zarżały, a pojazd ruszył.

– W końcu! Już mi niedobrze od tych wszystkich przygód! – rzekła Maria, machając energicznie wachlarzem.

Cecylia jednak jej nie słuchała. Obróciła głowę w kierunku drogi, gdzie nadal widziała sylwetkę jasnowłosego przystojnego mężczyzny,

zmierzającego wraz ze swoją małpką w kierunku sennej senegalskiej wioski. Zastanawiała się, czy rzeczywiście jeszcze kiedykolwiek go spotka.

BAL CHARYTATYWNY

– Mario, czy dobrze wyglądam w tym kolorze? – spytała Cecylia swoją kuzynkę, stając przed nią w pistacjowej sukni.

– Bo ja wiem... Niby we wszystkim ci ładnie, ale ta ma jakiś taki nieprzyzwoity wysyp koronek i kokard – odparła tamta, mierząc jasnowłosą kobietę wzrokiem od góry do dołu. Marszczyła przy tym przesadnie brwi.

– Ech, tobie nic się nigdy nie podoba. Gdybym założyła przesadnie zabudowaną czarną suknię żałobną, to pewnie byś mnie pochwaliła...

– Zarzucasz mi brak gustu?

– Nie brak gustu, tylko przesadną pruderię. Wydaje się, że wszystko cię gorszy. Nawet koronki.

– Nie koronki, ale fakt, że nawet nie przysłaniają w dekolcie tego, co powinny. Czyż nie lepiej zostawić mężczyznom więcej dla wyobraźni? Zresztą zastanów się, co pomyśli o tym twój ojciec. Zabiłby mnie, gdybym pozwoliła ci w tym wyjść na bal charytatywny... Co innego potańcówki w wojskowych koszarach – odparła Maria, pudrując twarz.

– Niech ci będzie... Założę tę błękitną.

– Świetny wybór!

Rozległo się pukanie do podwójnych, zdobionych rzeźbionymi motywami drzwi.

– Proszę odejść, nie jesteśmy gotowe! – odparła Cecylia.

– Cecylio! A jeśli to twój ojciec? – Szturchnęła kuzynkę Maria, przestraszona krnąbrnością dziewczyny.

– Panno Albergine, ojciec przywołuje panią do siebie – rozległ się zza drzwi głos służącego.

– Niech poczeka. Muszę się ubrać.

Maria szybko wstała z obitego złotym pluszem krzesła i pomogła ubrać się kuzynce, nie chcąc narazić Cecylii na gniew ojca. Dziewczyna ruszyła do gabinetu pana domu.

– Chciałeś mnie widzieć, ojcze? – spytała, gdy zamknęły się za nią drzwi. Jej ojciec siedział przy oknie, paląc fajkę.

– Tak, moja droga – odparł, wstając z krzesła. – Dzisiejszy wieczór jest dla mnie bardzo ważny. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Na balu charytatywnym będzie wiele osób, także z ludu, a to od ich głosów będzie zależało, czy zostanę ponownie wybrany na burmistrza. Będzie tu też wiele figur politycznych, ważnych osobistości. Ich zdanie na mój temat będzie bardzo ważne. Proszę więc, zachowuj się dziś przyzwoicie, jak na córkę ważnego biznesmena i arystokratkę przystało...

– Przykro mi, że we mnie wątpisz, ojcze.

– Niestety, moja droga, sądzę, że za dużo czasu spędziłaś na wsi, w posiadłości swojej kuzynki, z dala ode mnie. Brak ci ogłady. Jest to też moja wina, nie miałem dla ciebie ostatnio zbyt wiele czasu. I proszę, nie spoufalaj się tam z nikim... Mam duże wymagania co do ciebie i wielkie wobec ciebie plany. Reprezentuj godnie nazwisko Albergine.

– Co tylko sobie zażyczysz, ojcze...

– Dobrze, możesz odejść, Cecylio. Baw się dobrze.

Dziewczyna ukłoniła się grzecznie i wyszła. Zanim zdążyła dojść do swojego pokoju, drogę zastąpiła jej Maria. Złapała ją za rękę.

– Cecylio, nie uwierzysz, kto będzie dziś na balu! – pisnęła, nie kryjąc podekscytowania.

– Któż taki?

– Pułkownik Toussard!

– Pułkownik Toussard? Kto to jest?

Maria przewróciła oczami.

– Jak możesz nie znać pułkownika Filipa de Toussard, syna barona de Toussard? Jest bajecznie bogaty i do tego bosko przystojny! Słyszałam, że twój ojciec marzy, aby cię z nim wyswatać. Filip przyjechał tu specjalnie z La Rochelle. Podobno na cały przyszły tydzień wybierają się z twoim ojcem na safari. Pan de Toussard i jego ojciec, baron, lubują się w polowaniach. Czyż to nie ekscytujące?

Cecylia wzruszyła ramionami.

– Mario, ja chcę wyjść za mąż z miłości... Nie imponują mi czyjeś bogactwa... Powodzi nam się całkiem dobrze...

– I chcesz całe życie polegać na własnym ojcu? Nie lepiej się dobrze ustawić?

– Jeśli będę chciała się dobrze ustawić, to otworzę własny biznes.

– Och, Cecyljo... I kto się zakocha w takiej... emancypantce?

– Ktoś, kogo zauroczy moja osobowość...

– W to nie wątpię. Ale nie chcesz poznać pułkownika, dać mu szansy? – droczyła się z kuzynką Maria.

– Może zgodzę się na taniec lub dwa...

– Och, moja kochana Cecyljo! – Przytuliła kuzynkę Maria. – Jak ja cię kocham! To będzie cudowny bal!

W rozległej sali, ozdobionej girlandami kwiatów, w rytm walca tańczyły dziesiątki odświętnie ubranych par. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegały śmiechy rozmawiających we własnym gronie kobiet. Minęły

ledwie dwie godziny, a Cecylia miała już serdecznie dość zabawy. Każdy mężczyzna i każda kobieta, których jej przedstawiono, okazali się być nadętymi i aroganckimi bufonami, z którymi nie miała absolutnie o czym rozmawiać. Rozprawiali tylko bez przerwy o swoich absurdalnych problemach, narzekali na wszystko, chwalili się swoim bogactwem i egzotycznymi podróżami, podczas których stronili jak od zarazy od zamieszkujących te dalekie miejsca prostych, dobrych ludzi, porównując ich do szarańczy. Co za parada próżności! Pułkownik Toussard, choć rzeczywiście bardzo przystojny, był okropnym nudziarzem i przeciętnym tancerzem.

Cecylia ukryła się za malowanym w orientalne wzory parawanem, by odpocząć. Przez niewielką szczelinę obserwowała zebrane towarzystwo, sącząc szampana. Pomyślała, że może już czas wykręcić się od zabawy migreną i wrócić do swojego pokoju. Wtedy jednak kątem oka ujrzała w rogu sali postać przystojnego jasnowłosego mężczyzny, ubranego w skromny, ale schludny surdut. Rozmawiał z jakąś starszą kobietą, która raz po raz uśmiechała się i poklepywała go po ramieniu. Wziął w dłoń kieliszek jakiegoś trunku, który roznosił kelner, i wzniosł razem z kobietą toast. Potem obrócił twarz w kierunku reszty towarzystwa, jakby szukając kogoś wzrokiem. Cecylia rozpoznała go – to był Piotr. Zaczepiła służącego, który stał nieopodal.

– Proszę powiedzieć temu jasnowłosemu panu, temu stojącemu obok kobiety z wypchanym kolibrem na kapeluszu, żeby tu podszedł. To ważna sprawa.

Służący grzecznie spełnił jej życzenie. Panna Albergine zagryzła wargę, patrząc, jak Piotr pochyła głowę w jego kierunku, słuchając, co sługa ma mu do powiedzenia, a potem kłania się przepraszająco starszej kobiecie i rusza w jej kierunku. Gdy był już w jej pobliżu, służący zostawił go

samego. Piotr rozglądał się za kobietą, która poprosiła go do siebie, Cecylii nie było bowiem widać zza parawanu. Ze śmiechem chwyciła go za poję surduta. Gdy Gobillot ją ujrzał, nie krył zaskoczenia.

– Co pani tutaj robi?

– Co ja tutaj robię? Przecież mój ojciec jest gospodarzem dzisiejszego balu. Raczej skąd pan się tu wziął?

– To bal charytatywny, zbieram na naszą misję. Mój przełożony miał tu być, ale zachorował. Co za przypadek...

– Sam pan mówił, że nie istnieją przypadki... – weszła mu w słowo.

– No tak, no tak... – odparł z uśmiechem. Zmierzył ją wzrokiem. – Wygląda pani olśniewająco! – dodał, patrząc na nią z zachwytem.

– Pan też... niczego sobie... Dobrze się pan bawi?

Pokręcił z lekkim niezadowoleniem głową.

– To nie jest raczej moje towarzystwo. Zanim tu przyszedłem, spędziłem kilka godzin na słuchaniu wykładu na temat dobrych manier, a teraz czuję się tu, jakbym połknął kij.

– To zupełnie tak jak ja.

– Proszę sobie nie żartować...

– Nie żartuję.

Oboje zaśmiali się, a Cecylia powiedziała:

– Mam pewien pomysł. Dlaczego by nie zrobić sobie przerwy i nie pójść na spacer do ogrodu?

– Z przyjemnością!

Mężczyzna podał szarmancko ramię Cecylii, a ona oparła na nim swoją dłoń.

– Chodźmy!

Wyszli na zewnątrz. Piotr podziwiał piękny ogród, rozciągający się z tyłu posiadłości, w którym rozpoznał wiele odmian kwiatów przywiezionych prosto z Francji. Minęli wielką fontannę z figurą grającego na trąbce chłopca.

– Miała pani szczęście urodzić się w takiej rodzinie – stwierdził mężczyzna.

– Nie jestem tego wcale pewna. Czuję, jakbym do tej rodziny zupełnie nie pasowała. Mój ojciec twierdzi, że jestem bardzo krnąbrna. Czuję, że jestem dla niego wielkim zawodem.

– Proszę tak nie mówić, na pewno bardzo panią kocha. Chociaż przyznam, że jest pani nieposkromioną kobietą. – Zaśmiał się.

Ktoś na parterze otworzył dla ochłody parę przeszklonych okien i dało się słyszeć przyjemną taneczną melodię, dochodzącą z sali balowej. Pan Gobillot ukłonił się i wyciągnął w kierunku kobiety dłoń.

– Prosi mnie pan do tańca?

– A mogę? Zrobiłoby mi to wielką przyjemność. Nigdy wcześniej nie tańczyłem z krnąbrną arystokratką.

Cecylia chwyciła z uśmiechem dłoń mężczyzny, a ten pewnym ruchem objął ją w talii. Jego ruchy były płynne i pełne zwinności. Kobietę zdziwiło, jak doskonałym jest tancerzem.

– Czy nie mówił pan, że nie bywa na balach?

– Bo nie bywam. Nauczyłem się tańczyć wczoraj wieczorem.

– Pan sobie żartuje...

– Nie, nie żartuję.

– Jest pan w takim razie urodzonym tancerzem.

Wtuliła się mocniej w jego ramiona. Było w nim coś, co sprawiało, że świetnie czuła się w jego towarzystwie. Pomyślała, że mogłaby przetańczyć

z nim całą noc, a może i wieczność...

– Czy spotkamy się ponownie? – spytała, gdy krążyli jakiś czas po krótko przystrzyżonym trawniku.

– Jeśli takie jest pani życzenie...

– Owszem.

– Kiedy?

– Jak najszybciej...

– Jutro tuż przed zmierzchem, przy sklepie z dywanami w porcie? To najdalej wysunięty zakątek...

– Zgoda. Tylko proszę nie zabierać ze sobą swojej małpki.

Piotr zaśmiał się serdecznie. Potem zakręcił Cecylię w kółko. Kręciła się jakiś czas ze śmiechem, aż w końcu chwycił ją ponownie w swoje silne ramiona. Ich usta spotkały się na chwilę. Cecylia wiedziała, że po tym wieczorze nic nie będzie już takie samo...

WAKACJE NAD MORZEM

Przyjemna bryza owiała bladą twarz trzydziestoletniej kobiety. Brązowe, lekko falujące włosy, spięte luźno, opadły delikatnie, zasłaniając jej zaróżowione policzki. Chwyciła się mocnej marmurowej barierki balkonu. Przed nią, jak okiem sięgnąć, rozciągało się błękitne niebo bez żadnej chmurki, a ciepłe promienie popołudniowego słońca migotały niczym diamenty na lazurze morza. Tu i ówdzie widok piaszczystej plaży zasłaniały, przywiezione zapewne z Afryki, pojedyncze palmy, które dość dobrze przyjęły się w nadmorskim klimacie. Promenada naprzeciwko zdobiona była długimi, ciągnącymi się kilometrami rabatami kwiatów, traw i ozdobnych krzewów. To były jej pierwsze wakacje w Hendaye.

Poczuła, jak ktoś ją obejmuje.

– Podoba ci się tutaj, Tereso? – spytał ją znajomy męski głos. Głos jej męża.

– Tak, Martinie, jest pięknie. Dziękuję, że mnie tu zabrałeś.

– Pomyślałem, że potrzebujesz trochę morskiego powietrza, odpoczynku od miasta. Nie byłeś ostatnio w najlepszej formie. Te ciągłe przeziębienia, migreny...

– To prawda, dobrze mi to robi. Wiesz przecież, że nigdy wcześniej nie byłam nad morzem.

– Czas najwyższy. Wybacz mi, że dopiero teraz cię tu przywiozłem. Miałem ostatnio tyle pracy... Klinika pęka w szwach...

– A to dlatego, że jesteś najlepszym lekarzem w mieście – przerwała mu z uśmiechem.

– Może nie najlepszym, ale na pewno jednym z najlepszych – odparł Martin.

Zaśmiali się, a Teresa, obróciwszy się w stronę męża, wysunęła usta do pocałunku.

– Wiesz, że nie musisz iść z nami na obiad, jeśli nie czujesz się dobrze – powiedział z troską, całując ją.

– Wiem, ale bardzo chcę iść. Nie widziałam Amelii od tak dawna. Nie wspominając o Monice i jej mężu.

– Od czasu śmierci męża Amelia nie jest już tak wesoła i dowcipna jak dawniej. Za to Monika wcale się nie zmieniła.

– Nie dziwię się Amelii. Sama nie wiem, co bym zrobiła, gdybym ciebie utraciła.

– Dałabyś sobie radę, jak zwykle. Zanim się poznaliśmy, byłaś od trzech lat sierotą, a udało ci się nie tylko skończyć szkołę, ale i uzyskać posadę nauczycielki.

– Ale do tej pory nie nauczyłam się gotować... Moje wyczyny kulinarne to porażka...

– Robisz świetne jajka i omlety, a to już coś. Tak czy siak, Tereso, wcale nie jestem ci niezbędny do życia.

– Nie pleć bzdur... Jesteś moim wszystkim, Martinie. Życie bez ciebie nie miałoby sensu.

Martin na te słowa spoważniał. Delikatnie zdjął swoje dłonie z bioder Teresy, po czym podszedł do lustra i poprawił krawat.

– Jak wyglądam?

– Nonszalancko i gustownie, jak zawsze.

– A ty jesteś gotowa?

– Pozwól mi jeszcze szybko upiąć włosy.

Dziesięć minut później oboje schodzili po eleganckich marmurowych schodach w stronę hotelowej restauracji, urządzonej w tradycyjnym

marynarskim stylu. Posadzono ich przy stoliku na świeżym powietrzu, przy pięknych białych draperiach, zdobiących łukowate sklepienie tarasu. Mieli stamtąd doskonały widok na brzeg zatoki. Przy stoliku siedziały już trzy osoby.

– Amelio, Moniko, jak wspaniale was znowu widzieć! – pisnęła Teresa, po czym wzięła w objęcia długo niewidziane koleżanki. Tęskniła szczególnie za Amelią, którą znała od wielu lat i która była jej powierniczką. Nie widziały się prawie dwa lata.

– Tereso! Nic się nie zmieniłaś! Jak ja ci zazdroszczę, że nie przybyła ci ani jedna zmarszczka.

– Oj, przesadzasz, Moniko! Jak dzieci? Zdrowe?

– Tak, rosną jak na drożdżach. Michałek na już dziesięć lat, Weronika osiem, Krzyś sześć, a Marysia cztery. I muszę wam coś zdradzić... Jestem w kolejnej ciąży!

– Gratuluję! To wspaniałe wieści!

– Oj tak, nigdy za wiele pociech. Dzieci są radością życia, zwieńczeniem miłości małżeńskiej. Nie wyobrażam sobie bez nich życia!

Teresa przykleiła do twarzy grzeczny uśmiech, próbując ukryć rozpacz i ból, które rozrywały właśnie na strzępy jej serce. Nie mieli z Martinem dzieci. Nie udawało im się, chociaż próbowali setki razy. W końcu oboje uznali, że trzeba się z tym pogodzić. Choć Teresa nie do końca.

– A jak twoje pociechy, Amelio? – spytała.

– Dobrze, Tereso, dziękuję. Słyszałam, Martinie, że nowa klinika to sukces. Podobno masz więcej pacjentów niż zwykle. Pchają się drzwiami i oknami.

– Martin jest cudownym lekarzem – poparła ją Teresa, chwytając dłoń męża i pieszcząc ją czule. – Prawda, kochanie?

– Oj, jestem tylko trochę ponadprzeciętny – odparł, uwalniając się z objęć żony, i chwycił butelkę wina. – Tak naprawdę to tajemnica mojego sukcesu tkwi w przedwczesnej śmierci jednego z doktorów w mieście. Poleciał mnie wcześniej swoim pacjentom – dodał, nalewając wina wszystkim kobietom, a na końcu sobie i mężowi Moniki.

– Ja unikam lekarzy jak ognia, a już w szczególności dentystów... – skwitował mąż Moniki.

– Paweł wybrał się dwa lata temu do jednego z bólem zęba i dwie godziny zajęło mu jego wyrwanie. W końcu dentysta uciekł się do niecodziennej metody. Przywiązał ząb do klamki i zatrzaskał drzwi za sobą. Gdybyście słyszeli wrzask Pawła! Słyszać go było w całej klinice – wytłumaczyła Monika, wybuchając śmiechem.

– Teraz brzmi to śmiesznie, ale wtedy takie nie było...

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Saint-Louis](#)

[Bal charytatywny.](#)

[Wakacje nad morzem](#)